

## ROZDZIAŁ TRZECI

### GRACE

Burczało mi w brzuchu. Minęła wieczność, zanim zebrałam się na odwagę, żeby wejść do środka. Szary budynek ukryty pośród drzew wyglądał tak, jakby wyrósł z otaczającej go błotnistej ziemi. Do sklepu wędkarskiego „Ben’s Fish and Tackle” prowadził pełen dziur żwirowany parking zalany roztopionym śniegiem i deszczówką. Znak nad klamką informował, że jeśli chcę tu pozostawić wynajętą gdzieś indziej ciężarówkę, to kluczyki do pojazdu powinnam wrzucić do skrzynki znajdującej się po drugiej stronie budynku. Na kolejnym ogłoszeniu właściciele lokalu zawiadamiali o tym, że mają na sprzedaż szczenięta rasy beagle. Dwa pieski i jedną suczkę.

Położyłam dłoń na gałce. Zanim ją obróciłam, raz jeszcze powtórzyłam w myślach historyjkę, którą ułożyłam sobie wcześniej. Zawsze przecież istniało ryzyko, że ktoś mnie rozpozna. Przeżyłam lekki wstrząs, gdy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie mam pojęcia, ile czasu minęło, od kiedy po raz pierwszy przemieniłam się w wilka, ani jak głośno zrobiło się po moim zniknięciu. A przecież w Mercy Falls nawet problem z zatkaną ubikacją mógł trafić na czołówki gazet.

Weszłam do sklepu i zamknęłam za sobą drzwi. Skrzywiłam się, bo w środku było niewiarygodnie gorąco i śmierdziało starym potem. Minęłam półki ze sprzętem wędkarskim, trutką na szczury i folią bąbelkową i dotarłam do lady, za którą stał zgarbiony starszy mężczyzna w starszym wieku. To właśnie on i jego koszula w paski byli źródłem wszechobecnego nieprzyjemnego zapachu.

- Chcesz wypożyczyć ciężarówkę? – Mężczyzna wyprostował się i spojrzał na mnie przez kwadratowe okulary. Na tablicy za jego plecami wisiły rolki szerokiej taśmy klejącej. Starłam się oddychać przez usta.
- Dzień dobry – przywitałam się. – Nie chcę wynająć ciężarówki. – Nabrałam powietrza w płuca, przybrałam lekko tragiczny wyraz twarzy i zaczęłam kłamać jak z nut. – Chodzi o to, że ja i moja przyjaciółka właśnie strasznie się pokłóciłyśmy i ona wyrzuciła mnie z samochodu. Nie mam torebki ani komórki... czy mogłabym skorzystać z waszego telefonu?

Mężczyzna ściągnął brwi, przyglądając mi się nieufnie, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo jestem pokryta błotem i w jakim stanie są moje włosy. Przyglądałam je na wszelki wypadek.

- Jak to...? Teraz? – odezwał się w końcu.

Powtórzyłam swoją historyjkę, pilnując, żeby nie zmieniać szczegółów i zachowywać smutny wyraz twarzy. A że czułam się dość tragicznie, nie było to trudne. Właściciel sklepu wciąż patrzył na mnie z powątpiewaniem, więc dodałam:

- Chciałabym zadzwonić do kogoś, kto by po mnie przyjechał.
- No cóż – powiedział. – Zamiejscowa?

A więc jest nadzieja. Nie miałam pojęcia, czy to będzie rozmowa zamiejscowa czy nie, więc odpowiedziałam:

- Mercy Falls.
- Ha! – rzucił, nie rozwiewając moich wątpliwości. – No cóż.

Upłynęła kolejna dobijająca minuta. Usłyszałam, jak na zapleczu ktoś wybucha głośnym, przypominającym szczekanie śmiechem.

- Moja żona rozmawia właśnie przez telefon – wyjaśnił wreszcie mężczyzna. – Ale kiedy skończy, chyba będziesz mogła skorzystać.
- Dziękuję – powiedziałam. – A tak na marginesie, gdzie dokładnie jesteśmy? Żebym mogła powiedzieć mojemu chłopakowi, dokąd ma po mnie przyjechać.

- No cóż – powtórzył znowu. Ta fraza chyba nie miała dla niego żadnego znaczenia. Po prostu powtarzał ją, kiedy się nad czymś zastanawiał. – Powiedz mu, że jesteśmy dwie mile za Burntside.

Burntside. Prawie trzydzieści minut jazdy od Mercy Falls. Ogarnął mnie niepokój na myśl o tym, że pokonałam cały ten dystans nieświadomie, jak lunatyczka.

- Dzięki – uśmiechnęłam się.
- Chyba wdepnęłaś w psie gówno – dodał sklepikarz uprzejmie. – Czuję je.

Udałam, że patrzę na but.

- Ojej, chyba tak.
- To jeszcze trochę potrwa – ostrzegł mnie.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ma na myśli żonę wiszącą na telefonie. Zrozumiałam aluzję.

- Rozejrzę się. – Kiwnęłam na półki za sobą, a jemu wyraźnie ulżyło, jakby czuł się zobowiązany, żeby zabawić konwersacją każdego, kto stoi przy ladzie.

Gdy tylko odeszłam, żeby przyjrzeć się wiszącym na ścianie przynętom, usłyszałam, że znów zaczął myszkować po szufladach. Jego żona wciąż się śmiała tym swoim szczekającym śmiechem, a sklep niezmiennie cuchnął ludzkim potem.

Obejrzałam wędki, głowę jelenia ozdobioną różową bejsbolówką oraz sztuczne sowy służące do odstraszenia ptaków z ogrodu. W rogu stały pojemniki z żywymi larwami. Mój żołądek zaczął się buntować, a ja nie wiedziałam, czy to z powodu obrzydliwego widoku, czy też był to sygnał zbliżającej się przemiany.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna w czapeczce z daszkiem. Przywitał właściciela uściskiem dłoni. Przesunęłam palcem po krawędzi jaskrawopomarańczowej obroży dla psa myśliwskiego. Koncentrowałam się na poszeptach własnego ciała, usiłując przewidzieć, czy dzisiaj znowu się przemienię, gdy rozmowa mężczyzny nagle przykuła moją uwagę.

Nieznajomy w czapeczce powiedział właśnie:

- To znaczy, wiesz, coś w końcu powinno zostać zrobione. Jeden z nich porwał mi dziś ze schodów torbę ze śmieciami. Żona myślała, że to sprawka jakiegoś psa, ale przyjrzałem się odciskom łap – były za duże.

Wilki. Oni rozmawiali o wilkach.

O mnie...

Skuliłam się, kucając tuż przy ziemi i udając, że oglądam torby z suchą karmą dla psów stojące na najniższej półce.

Starszy mężczyzna rzucił:

- Słyszałem, że Culpeper próbuje coś zdziałać.

Koleś w czapce prychnął pogardliwie.

- Tak jak w zeszłym roku? Tamto polowanie gówno pomogło. Tylko połaskotał im brzuszki. Czy licencje wędkarskie naprawdę kosztują aż tyle w tym roku?
- Tak – odpowiedział właściciel, po czym wrócił do tematu. – Ale tym razem on próbuje je załatwić na dobre, tak jak to zrobili w Idaho. Z helikopterami i tymi... no... zabójcami. Nie, to nie to słowo. Ze snajperami, o! próbuje to załatwić legalnie.

Żołądek znowu wywrócił mi się do góry nogami. Miałam wrażenie, jakby wszystko wciąż sprowadzało się do Toma Culpepera. Postrzał Sama. Potem śmierć Victora. Kiedy ten człowiek będzie miał wreszcie dość?

- Życzę mu powodzenia z przeforsowaniem tego planu przy tych wszystkich zwariowanych ekologach – skomentował sceptycznie Czapeczka. – Wilki są chronione czy coś. Mój kuzyn

wpakował się w niezłe bagno, gdy potrącił jednego kilka lat temu. A do tego rozwalil samochód. Culpepera czeka niezła przeprawa.

Właściciel milczał chwilę, szeleszcząc czymś za ladą.

- Chcesz trochę? Nie? No cóż, w końcu to prawnik z wielkiego miasta. A wilki zabiły mu dzieciaka. Jeśli ktoś ma coś zdziałać, to właśnie on. W Idaho wybili całą sforę. A może to było w Wyoming... gdzieś tam.

Całą sforę?

- Ale nie za buszowanie po śmietnikach – zauważył Czapeczka.
- Za owce. Ale myślę sobie, że tu jest znacznie gorzej, skoro wilki zabijają nasze dzieciaki. Więc może uda mu się to przeforsować, kto wie...? – przerwał. – Hej, panienko! Panienko!! Telefon jest wolny.

Poczułam kolejne szarpnięcie w żołądku. Wstałam, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, mając nadzieję i modląc się, żeby Czapeczka nie rozpoznał skradzionej przeze mnie sukienki, ale on tylko obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem. Nie wyglądał na faceta, który zwracałby uwagę na niuanse kobiecych strojów. Podeszłam do lady, a starszy mężczyzna podał mi słuchawkę.

- To zajmie tylko chwilkę – obiecałam.

Właściciel nawet nie zarejestrował, że coś do niego powiedziałam, więc wycofałam się kątem sklepu. Mężczyźni dalej rozmawiali, ale już nie o wilkach.

Stojąc z telefonem w dłoni, uświadomiłam sobie, że mogę zadzwonić pod trzy numery. Sam. Isabel. Rodzice.

Nie. Rodziców nie ma na liście.

Do nich nie zadzwonię.

Wystukałam więc numer Sama. Nabrałam głęboko powietrza i zamknęłam oczy, rozpaczliwie pragnąc, żeby to on podniósł słuchawkę. Pragnęłam tego bardziej, niż chciałam się przyznać przed samą sobą. Łzy zakłuły mnie pod powiekami, więc zamrugałam gwałtownie.

Telefon dzwonił uparcie. Dwa sygnały. Trzy. Sześć. Siedem. Musiałam się pogodzić z myślą, że Sam może nie odebrać.

- Halo?

Na dźwięk jego głosu kolana ugięły się przede mną. Musiałam przykłęknąć i przytrzymać się półki, żeby nie stracić równowagi. Dół mojej kradzionej sukienki opadł na podłogę niczym rozarty kielich kwiatu.

- Sam – wyszeptałam.

Po drugiej stronie linii panowała cisza. Trwała tak długo, że bałam się, iż nas rozłączyło.

- Jesteś tam? – zapytałam.

Zaśmiał się dziwnym drżącym śmiechem.

- Ja... nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. Nie wierzę, że to ty...

Pomyślałam o tym, co będzie, gdy się wreszcie spotkamy, jak weźmie mnie w ramiona i będę znowu bezpieczna, będę znowu sobą, jak będę udawać, że nie muszę go znowu opuścić. Pragnęłam tego tak bardzo, że aż rozbolał mnie brzuch.

- Przyjedziesz po mnie? – zapytałam.
- Gdzie jesteś?
- W sklepie wędkarskim „Ben’s Fish and Tackle”. W Burntside.
- Jezu... już jadę. Będę za dwadzieścia minut. Już jadę.
- Czekam na parkingu – szepnęłam i otarłam łzę, której udało się wymknąć spod mojej powieki.
- Grace... - zamilkł.
- Wiem – szepnęłam. – Ja też.

## SAM

Bez Grace moje myśli krążyły po wielu światach, omijając ten, w którym się znajdowałem. Każdą sekundę wypełniałem muzyką stworzoną przez kogoś innego albo książkami, których wcześniej nie czytałem. Pracą. Pieczeniem chleba. Czymkolwiek, co mogło zająć mój umysł. Bawiłem się w normalność, udając, że muszę wytrzymać bez niej jeszcze tylko jeden dzień, a nazajutrz zobaczę, jak przekracza mój próg i życie znowu zacznie płynąć normalnie.

Bez Grace byłem maszyną w wiecznym ruchu, napędzaną przez bezsenność i strach przed myślami, które mogłyby skumulować się w mojej głowie, gdybym im na to pozwolił. Każda noc była kopią poprzedzającego ją dnia, a każdy dzień był kopią minionej nocy. Wszystko było nie tak: dom wypełniony po brzegi obecnością Cole'a St. Claira i nikogo innego; moje wspomnienia przesycone obrazami Grace zbryzganej własną krwią, przemieniającej się w wilka; mnie pozostającego człowiekiem, niezależnie od pory roku. Czekałem na pociąg, który nigdy nie zatrzymywał się na mojej stacji. Ale nie mogłem przestać czekać, bo kim bym się wtedy stał? Obserwowałem mój świat odbity w lustrze.

Rilke powiedział: *To się zwie losem: być w obliczu, wobec, i nic prócz tego, zawsze tylko wobec\**.

Gdy Grace odeszła, pozostały mi tylko piosenki o jej głosie i o echu, w którym ten głos wciąż pobrzmiwał, gdy ona zamilkła.

Aż w końcu zadzwoniła.

Gdy to się stało, na dworze było ciepło. Szorowałem właśnie volkswagena po trwającej całej wieczności zimie, zdrapując z karoserii resztki soli i piasku. Opuściłem szyby, żeby móc słuchać muzyki podczas pracy. Leciał akurat ogłuszający gitarowy kawałek, który później już zawsze kojarzyłem z tym momentem, kiedy zadzwoniła i zapytała: „Przyjedziesz po mnie?”.

Cały samochód był pokryty mydlinami, tak samo jak moje ręce, ale splukiwanie czegokolwiek nie przeszło mi nawet przez myśl. Wskoczyłem do auta, rzuciłem telefon na siedzenie pasażera i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wycofywałem samochód z podwórza w takim pośpiechu, że bez zatrzymania wrzuciłem pierwszy bieg i prawie rozwaliłem silnik. Mokra podeszwa ślizgała się na sprzęgle. Ryk auta wtórował biciu mojego serca.

Niebo nad moją głową było ogromne, niebieskie i pokryte białymi chmurami uformowanymi z delikatnych lodowych kryształków, które unosiły się zbyt wysoko nad ziemią, żebym mógł wyczuć ich chłód. Po dziesięciu minutach jazdy uświadomiłem sobie, że nie podniosłem szyb. Pęd powietrza osuszył mydliny na moich ramionach, pozostawiając na skórze białe smugi. Wyprzedziłem inny samochód na odcinku, gdzie było to zakazane.

Za dziesięć minut Grace będzie siedziała na miejscu pasażera. Wszystko będzie dobrze. Już czułem jej palce splecione z moimi, jej policzek dociśnięty do mojej szyi. Miałem wrażenie, jakby minęły lata, od kiedy po raz ostatni miałem ją w ramionach. Wieki, od kiedy ostatnio ją całowałem. Miliony lat, od kiedy słyszałem jej śmiech.

Ciężar nadziei sprawiał mi niemal fizyczny ból. Skupiłem myśli na niewiarygodnie błahych rozważaniach na temat tego, że przez ostatnie dwa miesiące Cole i ja żywiłmy się kanapkami z masłem orzechowym i galaretką, tuńczykiem z puszki i mrożonymi burritos. Kiedy Grace wróci, zacznie nam się wieść lepiej. Pomyślałem, że mamy stoik sosu do spaghetti i trochę makaronu. Przygotowanie odpowiedniej kolacji na jej powrót wydawało mi się niezmiernie ważnym zadaniem.

Z każdą minutą byłem coraz bliżej niej. Ale wciąż dręczyły mnie obawy. Te największe dotyczyły rodziców Grace. Oboje uważali, że mam coś wspólnego ze zniknięciem ich córki, ponieważ tuż przed przemianą pokłóciła się z nimi o mnie. W ciągu dwóch miesięcy jej nieobecności policja przesłuchała mnie kilka razy i przeszukała mój samochód. Matka Grace ciągle znajdowała nowe wymówki, żeby pojawiać się w

---

\* Rainer M. Rilke, „Elegie duinejskie”, przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962, s. 39.

poblizu księgarni w moich godzinach pracy. Zaglądała przez okna do sklepu, myśląc, że tego nie widzę. W lokalnej gazecie pojawiały się artykuły na temat zaginięcia Grace i Olivii. Autorzy snuli przypuszczenia, że mam z tymi zdarzeniami coś wspólnego, choć nikt nie wymienił mojego nazwiska.

W głębi duszy wiedziałem, że te okoliczności – Grace w ciele wilka, jej wrogo nastawieni rodzice, ja w ludzkiej postaci – to węzeł gordyjski, niemożliwy do rozplątania. Ale wierzyłem, że dzięki obecności Grace wszystko się jakoś ułoży.

Byłem tak zamyślony, że prawie przegapiłem sklep wędkarski, niepozorny budynek niemal całkowicie ukryty za skartowaciami sosnami. Volkswagen szarpnął, kiedy wjeżdżałem na parking. Wyboje w żwirze były głębokie i wypełnione błotnistą wodą, która rozpryskiwała się na podwoziu. Zwolniłem, omiatając wzrokiem teren. Za budynkiem stało zaparkowanych kilka ciężarówek do wynajęcia. A nieopodal, w pobliżu linii drzew...

Zatrzymałem wóz przy krawędzi placu i wysiadłem, nie wyłączając silnika. Przeszedłem nad drewnianym podkładem kolejowym i zamarłem. U moich stóp, na mokrej trawie, leżała porzucona sukienka w kwiaty, a kilka metrów od niej – chodak. Drugi but do pary leżał dalej, na boku. Odetchnąłem głęboko, a potem przykucnąłem, żeby zebrać ubranie. Zmiałem w dłoni sukienkę – materiał delikatnie pachniał Grace. Wyprostowałem się i przetknąłem ślinę.

Zobaczyłem bok volkswagena pokryty brudem z parkingu. Poranne mysie poszło na marne.

Usiadłem z powrotem za kółkiem i rzuciłem sukienkę na tylne siedzenie. Ukryłem twarz w dłoniach i oddychałem głęboko raz za razem, z łokciami opartymi o kierownicę. Siedziałem tak dość długo, spoglądając ponad deską rozdzielczą na porzucone w trawie buty.

Było o wiele łatwiej, kiedy to ja byłem wilkiem.